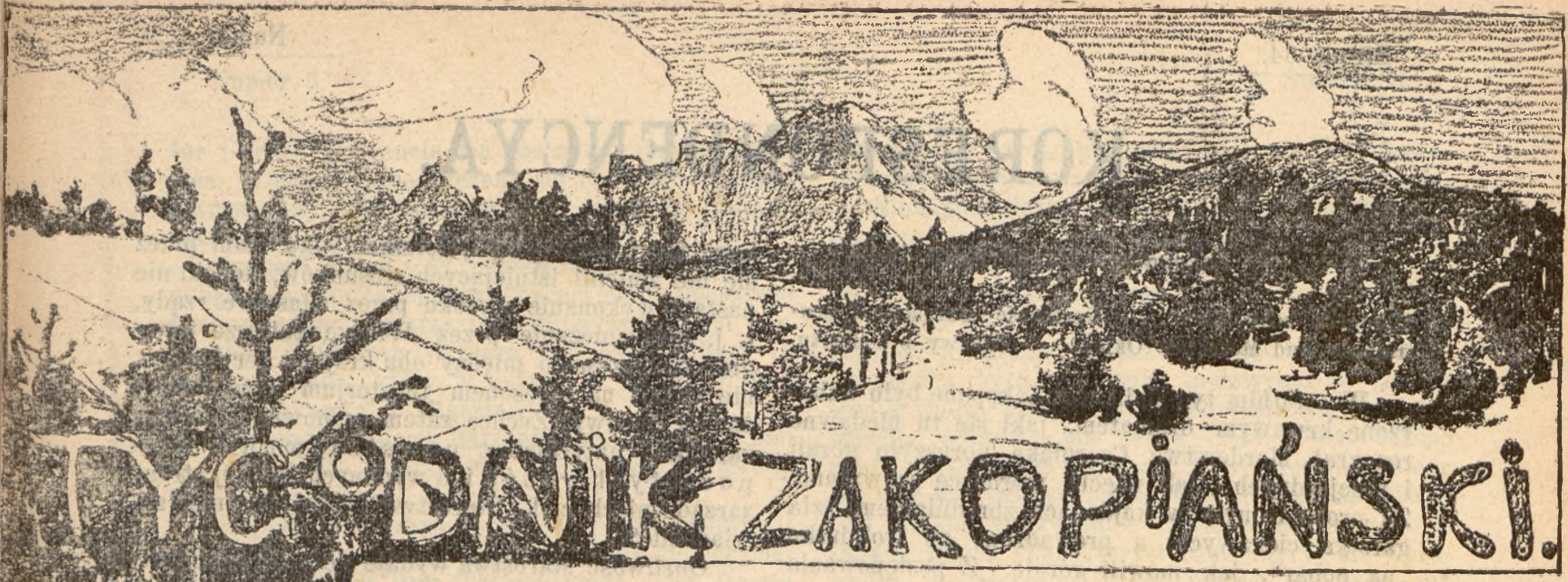




Program inwestycyj zakopiańskich.

III.

Do koniecznych inwestycyj należy dalej osuszenie Zakopanego, które przerznięte niezliczonymi strumieniami, ma mnóstwo podmokłych łąk i trzęsawisk. Wytwarza to wilgotną atmosferę, wcale niekorzystną dla uzdrowiska. Wydział krajowy przysłał już do Zakopanego inżyniera meljoracyjnego, ktory ma przygotować plany i kosztorysy. Należy tylko dopilnować, aby sprawa ta nie utonęła w biurokratycznych przewlekaniach, ale aby owe plany jak najspieszniej wykonane zostały.

Jeszcze bardziej naglącą jest sprawa oświetlenia Zakopanego, które szwankuje pod jednym względem. Zakopane posiada bardzo bystro płynącą wodę, która może dostarczyć wybornego a niekosztownego motora dla stacji elektrycznej; tę naturalną siłę należy jak najszerzej spożytkować.

Z inicjatywy dra Chramca powstało Towarzystwo udziałowe celem zbudowania stacji do oświetlenia elektrycznego Zakopanego. Przedwstępne pracy są już wykonane i niebawem ma Towarzystwo przystąpić do budowy stacji centralnej.

Budowa ta nie pociągnie za sobą zbyt wielkich wydatków, a elektryczność może służyć nietylko do oświetlenia ulic i domów, ale także jako motor poruszający dla warsztatów i zakładów fabrycznych, któreby w przyszłości powstały. Wreszcie dążyć należy do budowy sieci zębatych kolei elektrycznych, któreby ułatwiały wycieczki w głąb Tatr i wzmogły w ten sposób ruch turystowski. W Szwajcarji np. koleje zębate odgrywają wszędzie ogromną rolę, a pomimo olbrzymich kosztów budowy, opłacają się bardzo dobrze.

Do tych inwestycyi najpliniejszych, dodano na ostatniem posiedzeniu rady gminnej cały szereg nowych; w pierwszym zaś rzędzie zastanawiano się nad uporządkowaniem ulic zakopiańskich. Obecnie panuje na nich albo nieznośny kurz, albo szkaradne błoto. Kurz jest niezmiernie szkodliwy dla płuc mniej wytrzymałych, błoto utrudnia komunikację i nadaje całej osadzie niemiłą cechę brudną. Złemu może zaradzić tylko zaprowadzenie porządnych bruków. Zakopane rozporządza doskonałym materjałem na bruki. Dostawa nie będzie kosztowna, robotnik także nie zbyt drogi, więc zaczynać należy jak najprędzej i przynajmniej główne ulice powinny się wkrótce pokryć dobrym granitowym brukiem.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 26 Lipca 1903 r.

KORESPONDENCYA.

Zakopane, dnia 22 lipca 1903 r.

Morderca schwytany. — Gorliwość starostwa i neutralność nad Morskiem Okiem. — Zabawy i koncerty.

W ostatnim tygodniu całe Zakopane było wzburzone krwawym dramatem, jaki się tu niedawno rozegrał. Morderstwo Czerniaka poruszyło górali i przejezdnych. Jak wiecie, mordercę schwytano. Za prowadzonym w kajdanach zbrodniarzem, szła garstka ciekawych, a prowadzono go wolniutko „na pobar“, jak mówili górale. Z postępowania jego przed zbrodnią można wnioskować, że umysł Sobczaka był nienormalny. Naprzykład miał on zwyczaj w kościele tak bajecznie głośno śpiewać, że w ogólnym gwarze głosów zawsze znacznie się wybijał, co śmieszyło jednych, drugich oburzało. Ksiądz proboszcz często zwracał mu na to uwagę, ale Sobczak nie słuchał przestróg. Ksiądz wreszcie zabronił go wpuszczać do kościoła. Sobczak obrażony, pozwał tego, który mu zastępował drogę do kościoła, do sądu za gwałt w publicznem miejscu. Przecież taki fakt nie świadczy dobrze o stanie umysłu 24-letniego człowieka.

Z jakiemi przeszkodami musimy walczyć przy strzeżeniu naszych praw, o tem świadczy fakt następujący: Do „Towarzystwa Tatrzańskiego“ ze Starostwa w Nowym Targu, przyszło takie rozporządzenie: „Doszło do wiadomości c. k. Starostwa, że „Towarzystwo Tatrzańskie“ rozpisało budowę drogi na spornem terytorjum wzdłuż „Morskiego Oka“, ku „Czarnemu stawowi“. Wobec okoliczności, że wyrok Sądu polubownego w sprawie spornego terytorjum przy „Morskiem Oku“ sam przez się nie zmienił istniejących stosunków, dopóki nie nastąpi wykonanie wyroku przez właściwe rządy, t. j. rozgraniczenie przez Władze tutejsze i węgierskie spornego między obu krajami terytorjum, nie można na rzeczonem terytorjum przedsiębrać żadnej budowy. Zechce zatem szanowna Dyrekcja zarządzić natychmiast p o w s t r z y m a n i e r o z p o c z ę t y c h r o b ó t i o wydanych ze swej strony zarządzeniach c. k. Starostwo jaknajspieszniej zawiadomić“.

Gorliwość starostwa wydaje się cokolwiek przesadną, zwłaszcza że przed paru laty, gdy spór nie był jeszcze rozstrzygnięty, Węgrzy bynajmniej nie przeszkadzali prowadzenia tych robót!

Zabawy udają się dobrze.

Tombola i festyn w ogrodzie Dra Chramca ściągnęły w zeszłą niedzielę tłumy publiczności. Przypuszczamy, że „Schronisko dla nauczycielek“ pozyskało stąd dość sporą sumkę. Przykro jednak było widzieć górali, którzy grali w ruletkę na małą skalę, lub kupowali bilety, wiedzeni jedynie chęcią zysku, nie żeby poprzeć cel, a nawet nie dla zabawy. Jeden np. góral, wygrał trzy flaszki koniaku; kto wie czy dzień 19-go lipca nie będzie punktem zwrotnym w jego życiu, bo to powodzenie w grze, może go zachęcić do szukania równie łatwego zarobku.

Z powodu bolesnej wieści o śmierci Ojca św., odłożono na dni kilka zabawy i koncerty już przygotowane. Wyjątek zrobiono tylko dla chóru czeskiego „Smetana“, który mając czas ściśle obliczony, nie mógł czekać na koniec żałoby.

KRONIKA.

Wieczór na powodzian d. 21 lipca odbył się w sali Zakładu dra Chramca.

Koncert rozpoczął pan Romaniszyn „Fantazją caprice“ Vieuxtempia, wykonaniu nie pozostawiał nic do życzenia. Akompaniował, a właściwie wspólnie wykonał na fortepianie ten utwór p. Gabryś. Mówię wspólnie wykonał, gdyż fortepian w tej fantazji jest traktowany na równi ze skrzypcami i prawie równorzędną z nimi gra rolę.

Deklamacje p. Krzewińskiego: „Piosnka pijaka“ i „Na początku“ ogólnie się podobały.

P. Gabryś odegrał z brawurą poloneza a-dur Chopina, „Krakowiaka“ Paderewskiego i „Lesghinkę“ Rubinsteina.

Pan Romaniszyn śpiewał dźwięcznym barytonem i z wielkiem zrozumieniem rzeczy: „Czy pamiętasz“ Godarda i „Pieśń Wojenną“ Moniuszki.

Koncert zakończył „Romans“ Wieniawskiego, odegrany na skrzypcach przez p. Romaniszyna. W połowie tego pięknego utworu koncertantowi pękła struna i prawie jednocześnie na estradę wszedł dr Chramiec, oznajmiając publiczności, że właśnie nadeszła smutna wiadomość o śmierci Ojca świętego; wskutek tego koncert przerwano.

Byłem zadziwiony, dowiedziawszy się, że p. Romaniszyn jest samoukiem i nigdy się nigdzie nie uczył, świadczy to o wielkim talencie. Młody artysta z Bożej Łaski (tak go można nazwać) jedzie podobno kształcić się do Wiednia w muzyce i śpiewie. *I.*

Raut literacko - artystyczny zapowiedziany tu jest na dzień 2-go sierpnia. O ile nam wiadomo współudział w nim przyrzekli: Gabryela Zapolska, Kazimierz Tetmajer, Jan Kasprowicz i Ar-

tur Górski. Po raucie ma nastąpić zabawa tańcująca. Dochód przeznaczony na cel dobroczynno-patrjotyczny. Bliższe szczegóły ogłoszone zostaną afiszami.

Koncert chóru. W poniedziałek d. 3 sierpnia odbędzie się w Zakopanem koncert chóru męskiego krakowskiego Towarzystwa Muzycznego pod kierunkiem dyrektora Wiktora Barabasza. Jest to ten sam chór, który w lutym b. r. święcił tak wielkie tryumfy w Warszawie.

Poświęcenie domu tatrzańskiego. Dn. 18 bm. t. j. w sobotę odbyło się poświęcenie nowowybudowanego domu „Tatrzańskiego".

O godz. 9-tej rano proboszcz parafii odprawił mszę świętą, po której ksiądz kanonik Sobierajski udał się do domu Tow. Tatrzańskiego. Tam licznie zebranych gości powitał prezes dr Ponikło, który zaznaczył w krótkich słowach działalność dotychczasową Towarzystwa i otworzył „ten skromny, ale odpowiadający funduszom, jakiemi Towarzystwo rozporządza, budynek" dla użytku członków. Następnie ks. kanonik Sobierajski dokonał aktu poświęcenia.

Od rana do południa na werandzie restauracyi Włoczkowskiego w tym dniu przygrywa orkiestra.

Kto tworzy Bagno? Zawiść konkurencyjna wydaje zawsze dziwne owoce. „Przegląd zakopiański" tak się przeraził pojawieniem „Tygodnika zakopiańskiego", że użył przeciwko niemu odrazu najcięższych pocisków... kłamstwa i potwarzy. Z napaściami tego rodzaju walczyć nie myślimy, bo nie mogą nas dotknąć. „Przegląd" należy widocznie do pewnego gatunku prasy, która istnieje na to, aby dodać opust osobistym zawiściom i zawiedzionym ambicyjkom, osłaniając wszystko przeźroczystą maską „dobra publicznego". Trudno zresztą zbyt wiele wymagać od pisma, którego redaktorem jest... posługacz publiczny. Zawód to niezawodnie bardzo użyteczny, ale nie daje dostatecznego przygotowania do pracy publicystycznej.

Niewielką liczbę słuchaczów zgromadził koncert czeskiej drużyny śpiewackiej „Smetana", który się odbył dnia 22-go b. m. Dziwi nas to bardzo, bo jest to chór wyborny, który na konkursie w Paryżu i Gracu dostał złote medale i pierwsze nagrody pieniężne. Zaraz przy pierwszym utworze można było podziwiać nadzwyczajne ześpiewanie chóru, który każde drgnienie pałeczki dyrygenta odczuwa jak jedno ciało. Głosy bardzo dobre i doskonale dobrane. Dyrygentowi należy się wszelkie uznanie za subtelne zrozumienie utworów. Wielce interesujące efekta dynamiczne, oraz zmiany tempa charakterystyczne, dyrygent wprowadza do utworów, które nieraz bez tego nie miałyby żadnego znaczenia. Niewielka liczba słuchaczy, która brała udział w tej artystycznej uczcie, przyjmowała Czechów owacyjnie.

Zakopane zapełnia się z dniem każdym. Na ulicach, w kawiarniach i restauracjach raźno i gwarno; w hotelach i pensjonatach większa część mieszkań już zajęta, a każdy pociąg przywozi nowe gromady letników.

Z powodu doniesienia dzienników o powrocie Dra Janiszewskiego do Zakopanego, donoszą nam, że zażalenie Dra Janiszewskiego przeciwko usunięciu go z posady lekarza klimatycznego, Trybunał administracyjny odrzucił orzeczeniem z dnia 18 maja b. r. Z roszczeniami pieniężnemi został skarżący odesłany na zwykłą drogę prawa.

Z Suchej otrzymujemy nieustanne skargi na tamtejszego kolejowego restauratora żyda. Jedzenie daje szkaradne, naczynie jest brudne, a ceny wysokie. Mamy nadzieję, że Dyrekcya kolei państwowych uwzględni życzenia podróżnych i odda chrześcianinowi restaurację.

Dziwna rzecz, że ulokowano portjera żyda w tak ważnym punkcie ruchu letniego.

Trzy miesiące w sanatoryum.

Od godziny 8-mej rano dziewczęta schludnie, z wiedeńska ubrane, roznoszą stosownie do życzenia kawę, herbatę, mleko i kakao. Na stołach biało zasłanych, stoi à distration, pieczywo, masło i herbatniki. Punkt o 3 kwadranse na 10-tą, sala zostaje zamkniętą, i wtedy już nikt ze spóźnionych posiłku nie dostanie. — Despotyczny ten na pozór przepis, tłómaczy się koniecznością uprzątnięcia sali i przygotowania drugiego śniadania, o którem o godz. wpół do jedenastej, oznajmia 3-krotnem uderzeniem młota, w żelazną sztabę, posługacz werandowy — zarazem stróż szatni i specjalista do zimnych nacierań, ordynowanych w zakładzie.

Na drugiem śniadaniu schodzą się znów kuracjusze i spożywają jajka, wędlinę, herbatę, pieczywo i t. p. O 1-ej godz. obiad z pięciu dań wykwintnie podanych, sporządzonych przez miejscowego kucharza podług „menu" hygienicznie obmyślonego. O 4-ej podwieczorek i znów, jak na pierwsze śniadanie, do wyboru kawa, herbata i t. d. O 7-ej kolacja z 3-ech dań i herbaty. O $9^3/_4$ już po numerach roznoszą mleko — a o 10-ej godz. wieczorem maszyna elektryczna przestaje funkcjonować i cały zakład zapada w ciemność, a kto może w sen głęboki.

Jak więc stąd widzimy na odżywienie szczególny położono nacisk, lecz przy dobrych apetyt

tach, ogólnie cechujących chorych przy stole, — przepis ten do najprzykrzejszych nie należy. Charakterystyczna jest ogólna fizjo-gnomia stołu strzeżonego po krańcach przez miejscowych lekarzy t. j. inicyatora i dyrektora zakładu dra Dluskiego i jego pomocników — żony dr. med. Dłuskiej i ordynującego w czasie mego pobytu dra Brzezińskiego. Charakterystyczne jest stereotypowe pytanie zadawane przez lekarzy każdemu niemal z pacjentów: jaka temperatura? ciekawe poufne rozmowy prowadzone z doktorami na stronie, ciekawa ta cała drobiazgowa opieka i kontrola rozciągana nad chorymi, opieka przy której czuć tyle



STRĄŻYSKA.

starania dobrej woli i szczerej życzliwości, że zapomina się, że się jest wśród ludzi obcych w zakładzie leczniczym, a czuje się jakoby dach rodzinny nad głową i otoczenie dobrych, serdecznych znajomych.

Drugą podstawą na której opiera się życie samatoryum — to leżalnie. Godziny werandowania wypełniają czas między posiłkiem t. j. od $9\frac{1}{2}$—$10\frac{1}{2}$ rano, od 11 do $12\frac{3}{4}$ godz. od $2\frac{1}{2}$—4 popoł. od $4\frac{1}{2}$—$6\frac{3}{4}$ i 8—9 godz. wieczorem. Chorzy leżą na wygodnych leżakach, pokrytych zdejmującemi się materacami, w zimie otuleni w futra, chustki, serdaki etc. większość opakowana po piersi w futrzane worki, specyalnie w tym celu wyrabiane przez kuśnierzy zakopiańskich, przy każdym leżeku stoi żelazny stolik, prócz tego żelazne pulpity ułatwiające czytanie i pisanie w pozycji leżącej, wędrują z miejsca na miejsce w miarę potrzeby. Większość pacyentów czyta, inni wpatrują się w cudowną panoramę Tatr rozciągającą się przed nimi, inni grają w szachy warcaby i t. p. (gra w karty ku zmartwieniu wielu amatorów — jako hazardowna i podniecająca — przepisami wzbroniona) inni wreszcie śpią; ponieważ stan humorów szczególniej w dni pogodne bywa bardzo dobry, więc i atmosfera panuje wesołe, podniecona żartami i dowcipami.

W godzinach werandowania lekarze odbywają przegląd leżących. Każdy nieobecny bywa spostrzeżony i zmuszony do umotywowania swego odstępstwa przed doktorem. Samowolne bowiem wyłamywanie się z pod przyjętego porządku i przepisamej kuracji tolorowanem nie jest*) i jedynie za uprzedniem porozumieniem się z lekarzem można wprowadzać w życie pewne zmiany jak np. zastąpienie werandowania spacerem lub przejażdżką. Tylko podniesiona temperatura lub inna potrzeba zdrowia usprawiedliwia takie życzenie ze strony chorych — jak np. jedzenie we własnym pokoju, leżenie u siebie i t. p. poza tem nagiąć się trzeba do przepisanego systemu, bo zakład mając na celu dobro wszystkich, zbyt wybujałych wymagań indywidualnych naruszających porządek ogólny, uwzględniać nie jest w stanie.

Po 9-tej godzinie wieczorem niektórzy z gości gromadzą się w ogólnych salach, gdzie spędzają czas na muzyce, próbach teatru amatorskiego, rozmowie itp., inni wracają do numerów.

Z tego co wyżej powiedziano widocznemi są wyjątkowo dobre warunki, jakie sanatorjum chorym ofiaruje. Prócz codziennej opieki lekarskiej drobiazgowej i ciągłej, chorzy podlegają co 2—3 tygodni specjalnemu badaniu u dra Dłuskiego — badaniu stanowiącemu niejako bilans stanu chorego, jego korzyści lub ewentualnych strat poniesionych na zdrowiu w Zakopanem. Badanie rozpoczyna się od sprawdzenia wagi obecnej i porównaniu jej z przeszłą, skonstatowaniu stanu ciepłoty chorego w danym okresie, zapisywanych przez tegoż kilka razy dziennie na odpowiednich kartkach a kończy się po długiej i sumiennej auskultacyi wskazówkami co do dalszej kuracji.

Ponieważ dyrekcja z zasady nie przyjmuje osób w ostatniem stadjum choroby, gdy niema już nadziei wyleczenia, więc stąd wypływa, że prócz chorych stale leżących w łóżku z powodu wyczer-

*) utrzvmywanie przepisów gwarantowane jest następującą uwagą regulaminu: przekroczenie przeciw powyższym przepisom zasługuje na naganę, powtarzanie zaś ich może wywołać wykluczenie z Zakładu.

pania lub stałego podniesienia temperatury (wyżej 37·3 zalecone jest łóżko) — większość pacjentów z tygodniem każdym zyskuje na siłach i poprawia się w oczach na wyglądzie, a jeśli w zupełności nie jest już w stanie odzyskać zdrowia, to w każdym razie podratowuje je i wzmacnia.

Co do materjalnej strony życia w sanatorjum, to utrzymanie chorego bez mieszkania kosztuje 9 koron dziennie, cena zaś pokoi waha się między 2—8 koron dziennie. Rachunki reguluje się co tydzień. Oddzielna opłata pobiera się za pranie osobistej bielizny, za napoje wyskokowe, lekarstwa i spluwaczki kieszonkowe — po zatem w utrzymanie wchodzi prawo bezpłatnego korzystania ze wszystkich urządzeń zakładowych. Dla osób towarzyszących chorym, taksa dzienna wynosi 8 koron dziennie.

Jak z tych danych widać, pobyt w sanatorjum jest kosztowny, choć nie wyższy jak w sanatorjach zagranicznych w Davos, Grise itp. Jak zaś sanatorjum było u nas na czasie, świadczy stały napływ gości, który w końcu lutego zapełnił szczelnie wszystkie 70 numerów gmachu. Od połowy maja do połowy czerwca — w t. zw. ogórkowe czasy dla Zakopanego — było jednak kolo 30 (?) numerów zajętych. Obecnie z dniem każdym liczba gości wzrasta.

Naturalnie jak wszędzie, gdzie zjawia się coś nowego i w stosunku do istniejących porządków lepszego, tak i na temat sanatoryum i jego kierowników kursowało w Zakopanem mnóstwo plotek, złośliwych wersji, ktytycznych komentarzy i t. p. miedzi brzęczącej, która nieraz obijała się o świadomych istotnego stanu rzeczy. Wystarczy czas jakiś przebyć w sanatoryum, pożyć jego życiem — by na podstawie własnego doświadczenia i obserwacji wyrobić sobie sąd o całości panujących w niem stosunków. I każdy bezstronny, a choć trochę umiejący patrzeć spostrzegacz — przyznać musi kierownikom zakładu niespożyte zasoby inicjatywy, dobrej woli i pracy, zdumieć się musi ich zupełnemu oddaniu się i poświęceniu zakładowi, którego wystawienie jest dziełem i zasługą dotychczasowego ich życia, a utrzymanie na poziomie europejskich zakładów leczniczych — zadaniem i ambicją na przyszłość. A kto przyjrzy się tym stosunkom z bliska, kto zda sobie sprawę z „historycznych" trudności, jakie wystawienie sanatoryum spotkało na swej drodze — kto sprawdzi na miejscu, ile wysiłków woli i energji potrzeba, by ująć w karby niesubordynację wszystkich jego mieszkańców, począwszy od służby a skończywszy na pacjentach — kto wreszcie zda sobie sprawę choć z części przeszkód technicznych i moralnych, ten dopiero oceni całą doniosłość wystawienia i prowadzenia u nas zakładu tego.

A dziś, gdy pierwszy krok został już mocno postawiony — idea sanatorjalna znaleść powinna dalszych pionierów. Oprócz poruszanej u dziennikarstwa już niejednokratnie, ale zawsze niedostatecznie konieczności założenia sanatoryum ludowego dla ludzi mniej zamożnych — nasuwa się także potrzeba stworzenia w Zakopanem odpowiedniego zakładu leczniczego dla dzieci gruźlicznych.



JEZIORO SZCZYRBSKIE.

W sanatorjum Dłuskiego bawiło kilkoro dzieci pod opieką rodziców, ponieważ jednak pobyt paru osób w sanatorjum, ze względu na wysokie ceny jest bardzo kosztowny, więc mogą korzystać z kuracyi sanatorjalnej jedynie dzieci sfer więcej niż przeciętnie zamożnych. Dlatego jest wskazanem stworzenie specjalnego sanatorjum dla dzieci, gdzieby małoletni znaleźli prócz opieki lekarskiej, stały i troskliwy dozór i kierunek pedagogiczny, tak, żeby Rodzice mogli bezpiecznie pozostawiać swych małych chorych na kuracji, wtedy, gdy osobiste towarzyszenie im w zakładzie niemożliwem jest dla nich, czy to ze względów materjalnych, czy też niemożności dłuższego opuszczenia domu i zaniedbania innych obowiązków. Dziś gdy wzór istnieje, a żywa potrzeba woła o swe prawa — zaspokojenie jej winno być tylko kwestją — czasu.

Irena Mayzlówna.

Gdzie gencyany kwitną?

Ciąg dalszy.

Co pierwszego każdego miesiąca Zośka doznawała dziwnego, nerwowego niepokoju. Ogarniał ją lęk o „pęsyją“ — o te ośm guldenów, które się jej należały i za które byłaby w ogień skoczyła. Stawała się wtedy wrogiem państwa u których służyła, gotowa na wszystko, nawet na „wyprawocienie“ (wyprocesowanie), gdyby ktoś jej wypłaty pensyi odmówił. Oczy jej tylko migotały, gdy ujrzała wreszcie te upragnione pieniądze leżące na stolnicy lub stole. Chwytała je jakimś nieokreślonym, niezwykłym gestem, który zachowywała tylko na tę uroczystość. I na drugi dzień można ją było posiekać w kawałki, zanim pokazałaby choć cent z wziętych pieniędzy. Gdzie je ukrywała, nie wiedział — nikt.

Pewnego wieczoru zapytałem ją — co zrobi z uskładanemi pieniędzmi i radziłam, aby kupiła sobie grunt w Zakopanem, postawiła domek i tam dokończyła swego życia w spokoju, ciszy i wśród swoich.

— Nie chcę! — odparła, patrząc na mnie jak na wroga — dosidem (umrę) tutok w mieście.

— Ależ jesteś sama, nie masz ani męża, ani dzieci, aby ci oczy zamknęły.

— E! wolę jak mi zakonnica ocy zawrze niż hłop albo dzieciska. Hłop to ino mąt w domu, habryki wódki woła, a dzieci? Dosiekem się na marne zycie innych gaździn napatrzyła. Wolę haw, jak haniok.

— Smutno ci będzie.

— Slebodna jestem, a Panna Najświętsza cy górska cy miejska jednaka — a w mieście cłeku blisza, bo bez księzy wsystko mozna u niej wytargować.

Od tej chwili Zośka jeszcze więcej cofnęła się w siebie i otoczyła się nieprzebytą mgłą samolubstwa. Nic nie miało zda się przystępu do tej na wpół zamarłej już w szmerze pacierzy duszy, tylko dzwony kościelne, albo dźwięk srebrnych guldenów.

Przez dłuższy czas bawiłam w Zakopanem i widziałam całą dolinę białą od śniegu i góry srebrno różowe, a smereki na nich siwe jak nieprzeliczone armje olbrzymich, stuletnich rycerzy. I w oczach moich topniały wolno śniegi, rozpływały się w dolinie lody, a zpod bieli zieleniała delikatna trawa i mchy. Jednego popołudnia za Jaszczurówką u stóp skały, trafiłam na rozesłany cały kobierzec ciemno-szafirowy, drżący leciuchno pod tchnieniem wichru. Jak mora aksamitna, tak mienił się ten łan szafirów i ametystów, a nad nim w górę pięły się szczyty całe białe oh śniegu. I ten czarowny kontrast, to delikatne, świeże, wiosenne kwiecie i ten śnieg mroźny, stężały tam w górze, przynosił niezmiernie rozkoszne wrażenie kontrastu, które pozostawało silnie w duszy wyryte.

Zerwałam garść gencjan i uwiozłam je z trochą ziemi czarnej, wilgotnawej i pachnącej wiosną. Przywiozłam je do Krakowa i schowałam starannie pomiędzy oknami.

Wieczorem, do mego pokoju weszła Zośka. Krzątała się milcząc, nie pytała ani jednem słowem o Zakopane, mimo że wiedziała, iż stamtąd powracam. Przypatrywałam się jej w świetle lampy. Miasto i dewocya dokończyły swojego dzieła. W tym kłębku ciała, w tej płaskiej masce twarzy nie było już nic z rozkosznego podtatrzańskiego dziecka gór, co ma w sobie coś z sosny albo i brzozy, której warkocze wicher halny dokoła rozrzuca.

Ciężka, tłusta, jakby mazią dokoła oblana w swych miejskich spódnicach ruszała się w świetle lampy powolnie i z pewną metodą. — Nie nadużywała siły, nie rzucała się — bo kciała jesce długo posługować, aby pensyjom długo wybrać.

Ogarnął mnie jakiś żal i gniew.

Szybko podeszłam do okna wyjęłam ukryte gencyany — i podsunęłam je na dłoni pod oczy Zośki.

— Patrz Zośka — to po drodze do Morskiego Oka urwałam te kwiateczki.

Nastąpiło długie milczenie.

I nagle w ciemności, w krąg świetlany lampy wyciągnęła się spracowana ręka o krótkich tłustych palcach.

— Dajcie jeno! —

Przełożyłam bryłkę ziemi, na której drżały szafirowe stulone i zaknięte kwiatki — z mej dłoni na dłoń Zośki. D. n.

Gabryela Zapolska.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

Nella przez ciąg całego życia nawykła do podróży statkiem. Zacząwszy od ojczystej rzeki Hudson, skończywszy na błękitnej toni Śródziemnego morza, pływała yachtem w różnych porach i strefach. Lubiła wycieczki po morzu i w tej jaką robiła obecnie, nie znajdywała nic nadzwyczajnego. Uniosła głowę, aby rozejrzeć się po okolicy, ale ta głowa opadła bezzwłocznie. Czuła się rozstrojoną, zmordowaną; pożądała tylko samotności i ciszy; nie doznawała żadnej obawy, żadnego niepokoju: jakgdyby sto lat minęło od jej spotkania z panną Spencer, wspomnienie całego z nią zajścia zatarło się w pamięci Nelli.

Był to mały statek, a praktyczny zmysł młodej dziewczyny nasunął jej wniosek, że yacht musi należeć do członka arystokratycznej rodziny, używającego dla przyjemności przejażdżki po morzu. Opierając się o poręcz krzesła, nie stawiała sobie w myśli pytania, kto ją tu sprowadził, i rozpatrywała szczegółowo dojrzane przedmioty. Pomost był biały, gładki jak jej ręka, łączące belki listwy czyniły wrażenie delikatnych arteryj. Wszystek mosiądz, począwszy od kranów i obręczy na kotłach, do zegara busolowego, świecił jak złoto. Stożkowate maszty strzelały wysoko w górę, a liny czyniły wrażenie przędzy jedwabnej. Nie rozpięto żagli; yacht posuwał się siłą pary z umiarkowaną szybkością. Nella przypuszczała, że był to statek, trzymający około sto ton objętości, że prawdopodobnie zbudowano go przed dwoma lub trzema laty. Na pomoście nie widziała nikogo, za wyjątkiem sternika w niebieskiej bluzie, bez żadnego na niej napisu, lub choćby liter początkowych; napisu takiego brakowało również na głównym maszcie i na blasze polerowanej, zawieszonej przy burcie. Nella próbowała parę razy słabym głosem przywołać żeglarza, ale on nie zwracał na nią uwagi i nie przestawał nucić piosenki; zdawało się, że nic go nie obchodzi prócz yachtu, morza, słońca i jego samego.

Oczy młodej dziewczyny zwróciły się na wybrzeże, od którego odpływał statek; rozróżniała na niem duży, biały budynek i okrągłą jego kopułę, w którym poznała kursal ostendzki z wytwornemi salami szulerni, rywalizującemi przepychem z domem gry w Monte Carlo. Padły na nią ożywcze płomienie słońca. Krajobraz dokoła wyłaniał się z szarawego zmroku, z ciemnych błękitnych nocy, przybierając różowe i jasnego seledynu barwy. Magiczny kalejdoskop jutrzenki przedstawiał cudowną grę kolorów, jak czynić to zwykł zawsze i wszędzie, bez względu na zmienność kolei ludzkich. Tu i owdzie Nella dostrzegała na morzu żagiel łodzi rybackiej, powracającej z nocnego połowu. Nagle doszedł jej uszu szum wody, rozbijanej kołem; nadpłynął parowiec, niby żółw pełzający po wodzie. Statek przybywał z Londynu; widziała na nim podróżnych, wychylających się ciekawie przez barjerę pomostu. Młoda dziewczyna w płaszczu nieprzemakalnym dała jej znak powitania, a Nella machinalnia kłaniała jej się od ręki. Z kolei kapitan parowca angielskiego pozdrowił sternika yachtu, ten ostatni jednak nie dał żadnej odpowiedzi. Po chwili statek i podróżni zniknęli z przed oczu Amerykanki.

Próbowała wyprostować zmęczone członki i dziwiło ją, iż dokazać tego nie mogła; odrzuciwszy okrywającą ją derkę, spostrzegła, że przywiązana była do krzesła. W jednej sekundzie odzyskała przytomność zupełną; wstrząsnął nią gniew, oburzenie; zrozumiała, że grozi jej niebezpieczeństwo. Minął senny spokój, uczucie nieokreślonej błogości; uzbrajała się w odwagę do stawienia czoła grozie i trudnościom położenia.

W tej chwili człowiek jakiś około lat czterdziestu, przybrany w elegancki strój marynarski, wyszedł z kajuty. Miał na głowie okrągłą czapkę, którą uchylił grzecznie.

— Dzień dobry! — rzekł. — Śliczny wschód słońca, wszak prawda?

Ton zuchwalstwa, nadany rozmyślnie tym wyrazom, dotknął młodą dziewczynę niby ostrze sztyletu. Jak wszyscy ludzie, prowadzący łatwe wesołe życie w stronach, gdzie złoto usuwa wszelkie przeszkody a prawo silną dłonią powstrzymuje nadużycia, trudno jej było pogodzić się z faktem, że są kraje, w których pieniądz mniej potężną bywa sprężyną a prawo bezsilnem wobec zbrodni. Przed dwudziestu czterema godzinami uznałaby niemożliwem, aby ktokolwiek mógł podlegać wypadkom, jakich ona doznała; wygłaszałaby szumnie brzmiące zdania o postępie cywilizacyi i doniosłem znaczeniu policji w XIX wieku. Doświadczenie nauczyło ją, że złe skłonności natury ludzkiej pozostają zawsze te same, że pod złudnym pozorem porządku społecznego, zabezpieczającego byt spokojnych obywateli, nurtują nieustannie czarne, tajemnicze prądy występku, zagrażające nam dziś tak samo, jak za czasów włoskich Rinaldinich. Przebyte próby przekonały o tem Nellę dowodniej, niżeli gdyby zbierała wiadomości w biurach policyjnych Paryża, Londynu, Berlina, Wiednia.

— Dzień dobry! — powtórzył przybyły, nie zważając na wzrok gniewny Amerykanki.

— Pan!... — zawołała — panie Tomaszu Jackson, jeśli tak się nazywasz, zdejm ze mnie wiążące mnie pęta, a wówczas pomówimy z sobą.

Z błyszczących oburzeniem oczu młodej dziewczyny sypały się iskry gniewu i pogardy, co dodawało jeszcze blasku jej urodzie. Tomasz Jackson, inaczej Juljan, eks-główny kelner hotelu Babilon, uważał się za znawcę piękności kobiecej; oczarowała go w tej chwili postać Nelli.

— Bardzo chętnie — odparł. — Zapomniałem, że dla zabezpieczenia pani od upadku, przywiązałem ją do krzesła. — I szybkim ruchem zerwał krępujące ją więzy.

Nella stanęła dumnie, drżąc z rozdraźnienia.

— Co to wszystko ma znaczyć? — pytała, patrząc mu w oczy wyniośle.

— Pani zemdlałaś — rzekł niewzruszony wcale — może nie przypominasz sobie tego?

Podał jej krzesło z wielką galanterją, a młoda dziewczyna zmuszoną była uznać w duchu, że nicpoń jest grzecznym, nie pozbawionym nawet dystynkcji człowiekiem. Niktby nie przypuszczał, iż przez lat dwadzieścia pełnił obowiązki kelnera hotelowego. Jego podługowate, wrażliwe oblicze, łatwe, swobodne zachowanie, zdawały się być obliczem i zachowaniem arystokraty; przemawiał głosem poważnym i stanowczym.

— Nie może to być w związku z porwaniem mnie i uwożeniem na pańskim yachcie — zauważyła.

— Yacht nie do mnie należy — oświadczył — ale to szczegół podrzędnego znaczenia. Ważniejszem jest, pani wybaczy, że przypomnę, iż przed kilku godzinami groziłaś damie jednej rewolwerem w moim domu.

— Więc to był dom pana?

— Czyż nie mogę posiadać nieruchomości? — pytał z uśmiechem.

— Żądam, abyś pan kazał yachtowi zawrócić i odstawił mnie z powrotem bezzwłocznie.

— Ah! — zawołał — sądzę, że to niepodobnem. Nie puściłem się na morze z zamiarem bezzwłocznego na ląd powrotu.

— Ależ ja chcę wracać — dowodziła. — Gdy ojciec mój dowie się, co zaszło, będziesz miał z nim niemiłą rozprawę, panie Jackson.

— Przypuśćmy, że ojciec pani nie dowie się o tem wcale...

— Jakto?

— Przypuśćmy, że pani nigdy nie wróci do niego?

— Chcesz pan mnie zabić, obarczyć nowem morderstwem sumienie swoje?

— Skoro mowa o morderstwach, niewiele brakowało, iżbyś pani zamordowała przyjaciółkę moją, pannę Spencer. Ona tak utrzymywała przynajmniej.

— Czy jest na tym statku? — dowiadywała się Nella, w obecności drugiej kobiety upatrując promyk nadziei dla siebie.

— Niema jej tutaj; niema na yachcie nikogo oprócz pani, mnie i nielicznej, dyskretnej bardzo załogi.

— W takim razie nie chcę rozmawiać dłużej z panem. Rób, co ci się spodoba.

— Dziękuję za udzielone łaskawie pozwolenie — szydził. — Przyślę pani śniadanie.

Gwiżdżąc, zeszedł do kajuty i niebawem ukazał się mały murzynek z filiżanką czekolady na tacy. Nella bez chwili namysłu wylała czekoladę do morza.

Jackson przypatrywał się temu zdaleka i powrócił do Nelli.

— Jesteś pani bardzo stanowcza — rzekł. — Wielbię stanowczość; rzadka to w kobiecie zaleta.

Nic nie odpowiedziała na jego słowa.

— Czemu mieszasz się pani do spraw moich? — pytał w dalszym ciągu.

Nie dała znowu odpowiedzi, ale ta uwaga wprawiła ją w zadumę. Poco istotnie wmieszała się w tajemniczą intrygę? Zajęcie się rzeczami przykrej, poważniejszej natury stanowiło dziwną sprzeczność z wesołem jej, niby nieopatrznego motyla życiem. Czy działała z poczucia słuszności i chęci ukarania występku? Czy było to z jej strony chęcią szukania przygód niezwykłych? Czy wreszcie pragnęła wyświadczyć przysługę jego wysokości księciu Aribertowi?

— Nie z mojej winy wpadłaś pani w matnię — dowodził Julian. — Nie zastawiałem na nią sideł; sama dobrowolnie ściągnęłaś na siebie biedę. Pani i jej ojciec chcecie dążyć zbyt szybkim tempem do celu. (C. d. n.)

Ruch pociągów zakopiańskich.

Odchodzą z Krakowa do Zakopanego:	o 10 min. 25 rano o 11 min. 40 wieczór.
Przychodzą do Zakopanego:	o 7 min. 5 wieczór o 4 min. 5 rano.
Odchodzą z Zakopanego do Krakowa:	o 9 min. 20 rano o 4 min. 35 po poł.
Przychodzą do Krakowa:	o 4 min. 35 rano o 2 min. 36 po poł. o 11 min. 5 wieczór.
Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów:	o 9 min. 20 rano.
Przych. do Lwowa:	o 2 min. 31 po poł.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

	16/7	17/7	18/7	19/7	20/7	21/7	22/7
Termom. such.	23·1	23·5	24·0	23·6	30·0	16·2	11·6
„ wilg.	19·1	18·7	20·7	21·4	26·1	15·8	11·3
Ozon	10	9	10	10	10	12	14
Term. maxim.	35·4	33·7	34·3	38·8	39·6	37·7	18·6
„ minim.	10·2	13·7	18·4	17·6	16·0	16·8	13·4
Barometr . . .	24·5	16·7	27·1	26·7	27·8	18·3	15·7
Kierunek szyb. wiatru . . .	699·1	696·6	696·8	697·3	695·7	694·6	696·5
Stop. zachmurz.	G. G. S. 4	W.W.N.4	E. E. 2	N. N. 3.	W.W. S.4	E. E. S. 2	N N W 2
Wysok. opadu	5 kłeb.	7 kłeb.	5 kłeb.	3 kłeb.	1 kłeb.	10 kłeb.	10 mgl.
Uwagi	6 opadu pogod.	6 opadu pogod.	6 opadu pogod.	6 opadu pogod.	1·6 deszcz	25·6 deszcz	6 opadu pogod.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr. Antoni Beaupré.
Druk W. Korneckiego w Krakowie.